M. B. P. w Łodzi

Pobudka

TYGODNIK

Łódź, dn. 20 VII. 1947 r.
Rok III. Nr 29
CENA 5 ZŁ

* * *

W dniu 14 lipca lud paryski, zdobywając Bastylię, otworzył nowy okres w dziejach nie tylko swojej ojczyzny, ale również całej Europy.

Rewolucja francuska, likwidując system feudalny, zrodziła system rządów parlamentarnych, które stały się ewangelią 19 wieku. Zasady, zawarte w deklaracji Praw Człowieka i Obywatela, stały się zawołaniem obozu postępu całego świata i podstawą wszystkich konstytucji państw parlamentarnych. Nie jest winą twórców rewolucji francuskiej, że ideały, które przyświecały im w 1789 r., zostały później wynaturzone i wykorzystane dla utrwalenia nowej oligarchii kapitalistycznej.

Rewolucja francuska wyniosła na scenę nową klasę, wówczas młodą, postępową i rewolucyjną — mięszczaństwo. Z czasem w miarę rozwoju ustroju kapitalistycznego, który stał się hamulcem postępu, wzbogacone mieszczaństwo stało się siłą wsteczną, a sztandar postępu ujęła klasa robotnicza.

I znów w imię ideałów wolności, równości i braterstwa, ale już głębiej i realniej pojętych, rozpoczęła się walka, która ogarnęła cały świat. Ta walka o urzeczywistnienie demokracji prawdziwej, demokracji ludowej, demokracji społeczno-gospodarczej — jest treścią dziejów XX wieku.

Ostatnia wojna przyniosła przemiany społeczne i gospodarcze, które pozwalają już widzieć zarys przyszłego świata. Mimo silnej opozycji kapitalistów, reformy społeczne i gospodarcze torują sobie drogę. Przemiany te dokonują się szybciej lub wolniej, ale wreszcie będą zrealizowane. Celem ich jest wprowadzenie demokracji gospodarczej, bez której demokracja polityczna jest pustym dźwiękiem.

Święcąc narodziny nowego okresu, nie wolno nam zapominać, jak wielką i przełomową rolę odegrała w dziejach postępu.

Dlatego dzień 14 lipca, czyn rewolucyjnego Paryża jest nie tylko świętem Francji, ale całego demokratycznego świata.

SPRAWNOSC — FACHOWOSC — OFIARNOSC

Budowa ustroju socjalistycznego jest możliwa jedynie pod przewodnictwem partii marksistowskiej, konsekwentnie realizującej program przemian strukturalnych w zależności od warunków istniejących w danym kraju. Partia jest tworem żywym, której zakres działania, siła i znaczenie zależne są od jej aktywu i mas członkowskich. Osiągnięcia socjalistyczne możliwe są przy istnieniu odpowiedniego poziomu uświadomienia, własnego stopnia znajomości teorii marksistowskiej i określonej sumy doświadczenia organizacyjnego.

Polska Partia Socjalistyczna ma ambicję poważnego uczestniczenia w rewolucyjnych przemianach ustrojowych naszego kraju. Program PPS, tradycja walki, przeszło półwiekowe osiągnięcia upoważniają tę Partię do współpracy nad budową Polski sprawiedliwości społecznej. Dlatego właśnie od chwili odzyskania niepodległości uczestniczymy w rządzie, jeszcze w latach okupacji pracowaliśmy nad szczegółowym ustaleniem form ustrojowych odrodzonej Ojczyzny.

Zakres naszego działania rozrastał się w miarę stabilizacji życia. Rosły jednocześnie szeregi PPS poprzez werbunek nowych członków. Dziś werbunek do Partii z wyjątkiem terenu wiejskiego uważamy za zakończony. Tego rodzaju sytuacja stawia przed nami nowy problem, który musi polegać na dostatecznie silnym powiązaniu mas członkowskich z ideologią socjalistyczną, z działalnością partyjną i państwową. Uchwały Rady Naczelnej w ten sposób określają wytworzoną sytuację:

Wyrobienie członków i działaczy partyjnych nie jest dostateczne. To właśnie umożliwia penetrację ideologiczną i organizacyjną pewnych form reakcyjnej dywersji.

Rada Naczelna wzywa CKW do podniesienia sprawności, fachowości, ofiarności aparatu partyjnego, do uruchomienia szerokiej działalności ideologiczno-szkoleniowej na wszystkich szczeblach partyjnych, do rozszerzenia i pogłębienia działalności wydawniczej w zakresie literatury socjalistycznej, do rozszerzenia i pogłębienia prac teoretycznych. Rada Naczelna zaleca CKW zorganizowanie Centralnego Ośrodka Wyszkolenia Socjalistycznego.

W ogniu argumentów wysuwanych przez aktywistów i wykładowców na kursach, w szkołach partyjnych być może okaże się, że ten i ów kandydat na członka naszej Partii pomylił się, że oszukał sam siebie i innych. Nie będziemy wówczas żałowali ozstania się z nimi. Zawsze bowiem podkreślamy i nieugięcie stoimy na tym stanowisku, że dążymy do Polski socjalistycznej poprzez jednolity front klasy robotniczej, poprzez walkę z karierowiczostwem i reakcją wszelkich odmian. Legitymacja partyjna może być tylko dokumentem konsekwentnego kroczenia po tej drodze z pełną świadomością celu ale niczym więcej.

Jerzy Wolski

Przegląd prasy

Minęły dwa lata od powołania do życia ONZ.

„Czy przeciętny mieszkaniec świata — pyta publicysta francuski Paul Leclerc — wykazuje nadal żywe zainteresowanie organizacją międzynarodową, zainteresowanie tak silne w czasie trwania pierwszej sesji ONZ w grudniu ubiegłego roku? „Jeżeli słusznym jest twierdzenie przeczące, jeżeli rzeczywiście „szary człowiek'' były uczestnik, a w wielu wypadkach ofiara minionej wojny, nie interesuje się albo też w małym tylko stopniu, Organizacją Narodów Zjednoczonych, zadaniem której jest usunięcie groźby zbrojnych konfliktów i ich przyczyn jest to poważnym symptomem, nad którym nie można przejść do porządku dziennego.

Przyczyny tego stanu — zdaniem Leclerca — tkwią zarówno w niedociągnięciach organizacyjnych ONZ, zwłaszcza sekretariatu generalnego jak i w braku właściwej współpracy między poszczególnymi organami.

Świat wierzy jednak w ONZ i w nakreślone przez nią formy współpracy międzynarodowej — pod warunkiem, że żadne z mocarstw nie będzie usiłowało użyć jej dla własnych, egoistycznych celów, uczynić z niej instrument własnej polityki. Czy zastrzeżenie to jest potrzebne?

— Zdaniem b. ministra Pierre Cot — tak.

„Postawa delegacji amerykańskiej — mówi on w wywiadzie udzielonym tygodnikowi „La Tribune des Nations'' — w komitecie energii atomowej, czy komisji rozbrojeniowej, a wreszcie ogłoszony projekt układu o współpracy kontynentu amerykańskiego, oraz deklaracja min. Marshalla, zdają się wszystkie stanowić bardzo poważne i trudne do przezwyciężenia przeszkody dla normalnego rozwoju współpracy międzynarodowej''.

„Nie wystarczy, aby Stany Zjednoczone wierzyły same w swą dobrą wolę, trzeba, by mogły w nią uwierzyć również pozostałe narody świata.''

„A przecież wszelkie metody szczerej współpracy USA w ramach ONZ dodaje Pierre Cot — powiększyłyby autorytet nie tylko Organizacji Narodów Zjednoczonych, lecz również i Stanów Zjednoczonych.''

Uwagi trafne i słuszne. Tym bardziej, że nie chcemy chyba, by ONZ podzieliła żałosny los międzywojennej Ligi Narodów. *WP.*

Polityka i życie w zwierciadle tygodnia

Puste fotele na Paryskiej Konferencji

Centralnym punktem zainteresowania opinii publicznej była w ubiegłym tygodniu Konferencja Paryska. Na zaproszenie W. Brytanii i Francji skierowane do 22 państw europejskich, by zechciały wziąć udział w konferencji na temat odbudowy gospodarczej w ramach planu Marshalla, pozytywna i bezwarunkowa odpowiedź nadeszła tylko od sześciu krajów, rządy 9 państw poczyniły zastrzeżenia, oznaczające właściwie wolną rękę, co do przyszłej ich postawy wobec decyzji, jakie mają zapaść na Konferencji. 7 państw bezwarunkowo odmówiło zaproszeniu.

To pierwsze niepowodzenie inicjatywy brytyjsko-amerykańskiej zostało pogłębione przez decyzję Czechosłowacji, która wycofała swą pierwotną warunkową zgodę na udział w Konferencji.

W ten sposób liczba państw, które przyjęły zaproszenie warunkowo zmalała do 8, liczba tych, które odmówiły — wzrosła.

Ale ciężar zagadnienia tkwi nie w liczbie państw reprezentowanych na Konferencji Paryskiej, lecz w tym, co te państwa reprezentują.

Wreszcie — ciężar gatunkowy ekonomiki państw, uczestniczących w konferencji w stosunku do całości gospodarki europejskiej jest tak niewielki, że właściwie żaden podstawowy problem gospodarczy nie może być przez nie rozwiązany.

Wylazło szydło z worka

Gdy w dniu 5 czerwca 1947 r. amerykański sekretarz stanu Marshall potrząsnął na uniwersytecie w Harvard workiem, na którym widniał napis „Plan pomocy Europie", zelektryzował nie tylko swych młodocianych słuchaczy, ale wielu poważnych polityków z Bevinem na czele.

Wprawdzie nikt nie wiedział, co zawiera ów tajemniczy worek Marshalla, ale liczni politycy amerykańscy pośpieszyli z zapewnieniem, że znajdują się w nim dolary, dużo dolarów, może pięć, a może sześć miliardów.

Dźwięk, rozlegający się z tego marshallowskiego worka, wprowadził w niezwykłe podniecenie Bevina i Bidault, przekonanych, że zawartość tego worka stanowi najlepsze panaceum na liczne bolączki, trapiące ich kraje. Dźwięk ten skusił także przedstawicieli 14 państw, którzy ulegli nawoływaniom Bevina, aby nie dopytywać się zbytnio o zawartość worka, ale uwierzyć na słowo Marshallowi.

Trzydniowe przestępowania z nogi na nogę delegatów 14 państw w Paryżu nie doprowadziły do ujawnienia zawartości mitycznego worka. Przeciwnie — Marshall ścisnął go mocniej w garści i oświadczył, że plan „Pomocy Europie" właściwie nie istnieje, że departament stanu dopiero rozpatruje i wybiera go z pośród różnych koncepcji.

Jedną rzecz tylko Marshall powiedział konkretnie: że celem amerykańskiej polityki jest odbudowa Niemiec.

W ten sposób niemieckie szydło wylazło z amerykańskiego worka. Organizatorzy Konferencji Paryskiej z przerażeniem zobaczyli, że dolary, które wydawały się już tak bliskie, nagle zaczęły się pośpiesznie oddalać. Truman zapowiedział, że „Plan" Marshalla będzie rozpatrywany przez kongres dopiero na wiosnę przyszłego roku.

W Londynie i w Paryżu panuje gorzkie rozczarowanie. Waszyngton zaś zapewnia swych gubernatorów stanowych, że polityka zagraniczna USA ma na celu tylko jedno — interesy Stanów Zjednoczonych.

W tych warunkach największą wymowę na Konferencji Paryskiej miały fotele niezajęte, fotele puste [illegible] na to nie poradzi najintensywniejsza propaganda prasy zachodnio-europejskiej, próbującej robić „dobrą minę do złej gry".

Wielka Brytania kapituluje przed Wall Street

Sensacją było ujawnienie, że W. Brytania zdecydowała się odbyć w Waszyngtonie rozmowy na temat odbudowy gospodarczej Zagłębia Ruhry. Brytyjska opinia publiczna została już przygotowana na fakt, iż rząd brytyjski zamierza odstąpić „na razie" od postulatów nacjonalizacji kopalń niemieckich i zgodzi się na amerykańską koncepcję eksploatacji Ruhry. Oznacza to, że Wielka Brytania zrzeka się na rzecz kapitalistów amerykańskich tego najcenniejszego zastawu, jaki zdobyła w czasie wojny.

Okoliczność że Francja nie została nawet dopuszczona do rozmów brytyjsko-amerykańskich jest bardzo znamienna. Wielka Brytania i Francja usiłują odegrać rolę pośrednika między „dolarodajną" Ameryką i biedną Europą. Ale okazuje się, że już przy pierwszej transakcji „pośrednik Nr 1" nie zabiera ze sobą „pośrednika Nr 2".

Drugim przykładem kapitulacyjnej polityki brytyjskiej wobec bankierów amerykańskich, trzęsących dziś departamentem stanu jest rezygnacja W. Brytanii z ochrony swej waluty. Faktyczne rozwiązanie „bloku szterlingowego" otwiera eksporterom amerykańskim drogę do wszystkich rynków zbytu rozległego Imperium Brytyjskiego oraz do państw, w których dotychczas eksporter brytyjski korzystał prawie z monopolu.

Najgorsze jednak dopiero przyjdzie. Zgoda Wielkiej Brytanii na swobodną cyrkulację jej długów wojennych w wysokości 3,5 miliarda funtów oznacza, że jedyny dziś bankier świata — Stany Zjednoczone — wejdą wkrótce w posiadanie olbrzymiego portfelu funtów szterlingów, stając się wyłącznym wierzycielem Anglii. Znając mentalność i metody Wall-Street, można być pewnym, że nakaz egzekucyjny przeciw Wielkiej Brytanii jest już zawczasu przygotowany.

Grunwaldzka lekcja historii

Historia Polski jest historią walk z Niemcami. To zdanie brzmiałoby napozór bardzo szowinistycznie, gdyby nie okoliczność, że w ciągu 1.000 lat naszej historii Polacy nigdy nie napadali na Niemców, ale zawsze byli przedmiotem napaści ze strony niemieckiej. Okresy wytchnienia między walkami wypełniała podjazdowa polityczna i ekonomiczna akcja Niemców, wymierzona przeciw Polakom i innym narodom słowiańskim.

Trzeba przyznać, że z historii tych walk wychodziliśmy zawsze pobici, z wyjątkiem dwóch dat: 15 lipca 1410 roku pod Grunwaldem i 2 maja 1945 r. w Berlinie. W jednym i w drugim wypadku potęga niemiecka została rozbita, a wróg skapitulował. W jednym i w drugim wypadku klęskę swą Niemcy zawdzięczają zjednoczonym siłom Słowian.

Gdy pod Grunwaldem, naprzeciw okutych w ciężkie zbroje zastępów krzyżackich stanęły lżej uzbrojone, ale liczniejsze, a najważniejsze — zjednoczone duchem solidarności — chorągwie jazdy polskiej, ruskiej, litewskiej, mołdawskiej, los butnych Krzyżaków był przypieczętowany.

Gdy w pięćset lat później nieprzerwanym marszem bojowym przyszły pod Berlin dywizje radzieckie, złożone z Rosjan, Ukraińców, Białorusinów i bojowników kilkudziesięciu innych narodów Związku Radzieckiego, sprzymierzone na śmierć i życie braterstwem broni z I Armią Polską, los hitlerowskich spadkobierców krzyżackiej buty i zaborczości znów był przesądzony.

Ta nauka historii ma głęboką wymowę. Niemcy są groźną, odradzającą się potęgą. Przestają nią być, gdy spotkają się oko w oko z potęgą zjednoczonej Słowiańszczyzny.

Narody słowiańskie są usposobione pokojowo i chcą pokoju. Ale nie dadzą się również niczym zastraszyć. Świadomość potęgi zjednoczonego frontu Słowiańszczyzny i lekcje historii dają narodom słowiańskim poczucie pewności siebie i bezpieczeństwa. (j.a.).

Nasz komentarz

Od chwili oswobodzenia Grecja korzystała z pomocy UNRRA, której wartość w dolarach wynosiła około 300 milionów dolarów rocznie. Zgodnie ze statutem UNRRA, pomoc ta wyklucza wydatki na cele wojskowe i przeznaczona jest wyłącznie na doraźną pomoc ludzkości i odbudowę gospodarczą kraju.

A tymczasem sytuacja Grecji jest gorsza, niż kiedykolwiek w przeszłości. Przemysł grecki jest zrujnowany, olbrzymie obszary rolne leżą odłogiem, ludność żyje w nędzy, robotnicy i rolnicy zamiast pracować, muszą służyć w wojsku.

Na tym tle „pomoc", ofiarowana Grecji przez Trumana, przerachowana z dolarów na działa i skrzynki amunicji, nabiera niedwuznacznej wymowy. Wprawdzie Truman podczas debat Kongresu miodopłynnie zapewniał, że „pomoc" amerykańska przeznaczona jest dla celów pokojowej odbudowy Grecji i utrwalenia demokracji w tym kraju, ale nikt przecież w to nie wierzył wówczas, a tym bardziej nie uwierzy dziś w obliczu masowych łapanek i deportacji przeprowadzanych przez rząd grecki.

Jeśli piszemy o tym, to nie po to, aby raz jeszcze demaskować imperialistyczne cele polityki amerykańskiej w Grecji. Przykład Grecji nie jest odosobniony, przeciwnie — w tych czasach dolar posiada jakby jakiś zły czar: wszędzie, gdzie pojawia się dolar — Turcja, Chiny, Francja, Indonezja — towarzyszą mu: zaostrzenie stosunków społecznych, walki bratobójcze, zapełnione więzienia i nowe arsenały.

Oczywiście dalecy jesteśmy od zabobonnego przypisywania dolarowi tajemniczych, złych własności. To nie dolar jest temu winien, tylko ludzie, którzy robią z niego zły użytek.

A jednocześnie widzimy, że kraje, które dzisiejsi dysponenci dolarów pozbawili tej cennej waluty, choć z trudem, znajdują sobie drogę do pokojowego życia. W krajach tych panują niełatwe warunki egzystencji, ale postępy odbudowy są widoczne. Widzimy w nich ład i spokój domowy.

I jeśli kraje te robią transakcje z zagranicą, to wymieniają między sobą nie działa, czołgi i amunicję, ale zboże, bawełnę, maszyny przemysłowe i rolnicze, węgiel i nawozy sztuczne. I to jest równie wymowne — jak przykład spływającej bratnią krwią Grecji.

JEDEN Z NAJWIERNIEJSZYCH i NAJLEPSZYCH

Pamięci tow. Roberta Froehlicha

Zmarły w Łodzi dnia 25 czerwca r. b na udar serca tow. Robert Froehlich należy do najpiękniejszych postaci polskiego ruchu socjalistycznego.

Zmarł w sile wieku męskiego, mając lat 54. Od 17-ego roku życia, a więc przez lat 37 był wiernym i niestrudzonym działaczem Polskiej Partii Socjalistycznej, w szczególności na ważnym odcinku pracy kulturalno-oświatowej.

Rektor Uniwersytetu Łódzkiego, przemawiając nad trumną nieodżałowanego — jak mówił — kolegi zaznaczył, że Zmarły był nieraz natchnieniem i dobrym doradcą swych towarzyszy pracy. Nic w tym dziwnego, bo życie, przekonania i światopogląd Froehlicha to był monolit o niepospolitym blasku.

Organizacja łódzka, której Zmarły oddał ostatnie lata swego bogatego i pełnego znojnego trudu życia, złożyła należny hołd Jego pamięci, uczciwszy Go uroczystym pogrzebem, w którym wzięli udział przedstawiciele Wojewódzkiego Komitetu PPS, organizacji T.U.R. i O.M.T.U.R, delegacje dzielnic partyjnych ze sztandarami oraz tłumy towarzyszy, przyjaciół, kolegów, słuchaczy i uczniów.

We wrześniu 1939 roku tow. Froehlich brał udział w Obronie Warszawy, w szeregach PPS. Przeżył całą okupację i powstanie warszawskie. Pełnił odpowiedzialne funkcje z ramienia partii, wykazując swój patriotyzm i umiłowanie sprawy wyzwolenia.

Gdy po wojnie została przeniesiona do Łodzi Wolna Wszechnica, na której tajnych kursach wykładał podczas okupacji i gdy na miejsce Wszechnicy powstał Uniwersytet Łódzki, Robert Froehlich zwrócił na siebie powszechną uwagę śmiałą postawą i wytężoną pracą, by nauka, oświata i kultura stały się integralną częścią zdobyczy klasy robotniczej, a nie, jak dotąd, przywilejem klas posiadających. Wybitnie społeczne podejście do spraw szerzenia oświaty, wielki zasób wiedzy teoretycznej, zdobytej podczas studiów zagranicą i przez własną nieustanną pracę naukową w zakresie pedagogiki społecznej, wysuwają Froehlicha na czoło propagatorów nowego kierunku szerzenia wiedzy wśród najszerszych mas społeczeństwa. Był on jednym z organizatorów pracy w Uniwersytecie Powszechnym, w TURze i Wydziale Oświaty W.K.P.P.S.

Kiedy PPS powołała do życia Radę Oświaty i Kultury — Robert Froehlich jednomyślnie został wybrany na jej prezesa. Na wielkim Kongresie Oświatowym Nauczycieli Socjalistów w Warszawie w grudniu 1946 r. referat Froehlicha „O problemach oświatowych w świetle ideologii socjalistycznej" był wielkim sukcesem mówcy i oświatowca.

Nie tylko przemówienia o mocnych akcentach przekonania, ale również znakomity sposób prowadzenia obrad, spokój i wrodzony Mu takt zdobywały zwolenników i budziły chęć do równania w pracy we wskazanym kierunku.

Obowiązkowość i zawsze najbardziej solidne wywiązywanie się ze wziętych na siebie zadań wzbudzały ogólny szacunek i uznanie.

Wielkie są zasługi tow. Roberta Froehlicha w dziedzinie pracy oświatowo kulturalnej, ale najistotniejszą Jego wartością był prawy, nieskazitelny charakter, wierność idei socjalistycznej, która daje prawo do postawienia Go w rzędzie najlepszych i najszczerzej oddanych Sprawie Wyzwolenia — nauczycieli i działaczy PPS.

Stanisława Woszczyńska

A Mars na to cicho (by Jowisz nie słyszał): — Starego lekarstwem tylko szach i cisza. Wracaj więc do wioski! Nie psuj nam wesela! Ja tymczasem natchnę twego przyjaciela..."

Więc ruszyłem raźnie... a we wsi zastałem z dalekiej Ojczyzny cztery paczki małe... Sport, Mewa, Egipskie — Junak, Machorkowe, Klub, Płaskie, Rarytas — Ergo, Mentolowe... Przyjacielu Drogi! Wdzięczny jestem Tobie! A was — wielbię! — wszechwładni bogowie!

Seweriusz Pawełek

Kiedy Pawełek wrócił, pudełko od cygar stało na swoim miejscu.

— Wiesz — zaczął — dostałem cztery pudełka papierosów. Z Polski... Taka mieszanka... Od przyjaciela, warszawiaka, urodzonego we Lwowie. Poznałem go w 39 roku... we wrześniu... Pamiętasz... to ten, któremu sprzedałem wtedy moją wszystką machorkę... Kupiłem wtedy te półbuciki... Nie wiem, kto podał mu mój adres... Napisałem mu podziękowanie...

— Taaak? Pokaż, co napisałeś. Może dodam parę słów od siebie...

— Kiedy — łgał, patrząc mi prosto w oczy — kiedy list zaniosłem już do Fichtnerowej.

Zdecydowałem się zdemaskować go.

— Kochany Pawełku — list jest w pudełku!

Spojrzał na mnie hitlerowskim wzrokiem i powiedział przez zęby.

— Świ-nia...

— Dlaczego?

— Idź, kretynie!

— Ładnie piszesz. A myślałem, że... jesteś nie czuły.

— Nie wysilaj się!

— Broń Boże! Chciałem tylko poradzić się...

— ? ? ?

— Poznałem cud dziew...

— Wariat!! Czytałeś list?

— Tak. Ma piękne, czarne oczy...

— Przestań, dobrze? Dopiszesz parę słów do tego listu?

— Pewnie!... Ona jest nieszczęśliwa...

— Od chwili, kiedy spotkała ciebie. Dwoje wariatów spotkało się... Jadłeś już?

— Nie jeszcze. Ja zaopiekuję się nią...

— Pewnie. Będziesz układał ją do snu a rano — budził słodkim pocałunkiem. Słowik usiądzie na gałązce jaśminu, a...

— Tak, jak w twoim poemacie...

— Milcz, dobrze?

— No to wysłuchaj mnie. Opowiem ci wszystko, a ty doradzisz mi... Ona potrzebuje opieki...

— No, przecież dałem ci, wyraźnie do zrozumienia, że chcę, abyś mu wszystko opowiedział, ale... ale bo to z tobą można dojść do ładu! Mów...

Jakież było moje zdumienie, kiedy cyklop, w pół godziny później oświadczył mi:

— Dzisiaj jest święto narodowe. Pojedź tylko po wodę i wywar a potem, potem jest „feierabend".

— A niech cię piorun... potomku krzyżaków. Żal mi było Pawełka, że nie znał hitlerowskich dni świątecznych i na tasiemca wybrał sobie dzień 1 maja. Ale któż mógł przypuszczać, że Niemcy świętują w dzień 1 maja. Na wolności byliśmy dopiero 8 miesięcy...

Zdenerwowany, zwróciłem się do cyklopa: — Święto, świętem — a praca — praca! Ja nie zostawiłbym koni bezczynnie w stajni. I to dzisiaj kiedy ziemia aż się prosi o pomoc. Przecież trzeba będzie zabrać się kiedyś za ziemniaki...

Stary Niemiec długo spoglądał na mnie swym jednym okiem, nim powiedział:

— Więc jazda. Wodę przywieziemy później...

Kiedy wyprowadzałem konie ze stajni, z małego strychowego otworu uśmiechało się do mnie dwoje pawełkowych oczu . . .

I tak święto pracy, z którego Niemcy uczynili święto hitlerowskie, było dla mnie dniem orki.

Wieczorem, w drodze powrotnej Fettke szedł obok koni, wpatrzony w ziemię.

— Pośpieszę się trochę — odezwałem się.

— Tak, tak. Już późno . . .

Wskoczyłem na Basię i popędziłem naprzód. Koło strzelnicy hitlerjugend musiałem jednak zatrzymać się. Basia, pełnym niepokoju wzrokiem dała mi do zrozumienia, że w lesie po lewej stronie drogi coś nie jest w porządku. Wytężyłem słuch.

Obejrzałem się jeszcze raz: Fettke szedł pochylony, wpatrzony swym jednym okiem w ziemię. Cmoknąłem na konie i popędziłem w bok, drogą do Molkenbergen. Nagle usłyszałem, dobiegający z bliska... gwizd. Ktoś gwizdał „Ave Maria". — Co jest? — zapytałem siebie — kto to może być?

Zsunąłem się na ziemię i podprowadziłem konie do potężnej sosny. Lejce owiązałem wokół pnia, wzrokiem nakazałem koniom spokój i cierpliwość, i szybko pobiegłem w kierunku, z którego dochodziła do uszu moich dawno nie słyszana melodia.

Na brzegu lasu, a raczej na brzegu pola, zaczynającego się tuż za lasem, dziewczyna z „Arbeitsdienstu", wpatrzona w ziemię i przygarbiona, posuwała się powoli w moją stronę. Bardzo dokładnie „hakała" wschodzące buraki i... gwizdała „M... nie".

Ubrana była, jak każda dziewczyna z „Arbeitsdienstu". Z ciemnych włosów, zsuwała się na plecy czerwona chustka.

— Szwabka . . .

Szwabka, o pięknych, jak jarzębiny czerwonych, ustach, miała na szyi medalik, który teraz wydostał się z jej bluzeczki i kołysał się przy każdym

ruchu pracującej. Nigdy nie zdołam wytłumaczyć sobie, jak to się stało, że powiedziałem po polsku „Dzień dobry" i w odpowiedzi usłyszałem „Dzień dobry panu"...

Po chwili dowiedziałem się, że ciemnowłosa dziewczyna — najpiękniejsza ze wszystkich łużyczanek i ze wszystkich dziewcząt na świecie — nazywa się Urszula Koniecka, że jest katoliczką, że ojciec jej, Polak, był kilkakrotnie więziony, nim umarł na gruźlicę płuc i nim „obdarzono" jej schorowaną matkę obywatelstwem niemieckim, że do Arbeitsdienstu wzięto ją przemocą w pół roku po śmierci matki, że ze strony swych przełożonych z obozu w Molkenbergu otrzymuje tylko nagany i kary, że wszystkie koleżanki - jędze szykanują ją, i, że dzisiaj — w dzień święta pracy, wysłano tylko ją do roboty w polu.

Nie wiem, kiedy i jak zaszło słońce, kiedy przywiozłem wodę i wywar.

Pawełka na strychu nie było. Widocznie wyzdrowiał i obija się po stodole.

Wyjrzałem przez okienko na podwórze i ... dokonałem niezwykłego odkrycia: Pawełek napisał wiersz!

Aby stwierdzić to, musiałem popełnić małe przestępstwo: tuż przy okienku znajdował się całusieńki pawełkowy majątek.

Były tam: „warsiawskie" półbuciki, świąteczne owijki, fajka z ułamanym ustnikiem, książka do nabożeństwa, dwie brzytwy, pasek, wilgotne liście tytoniowe, kawałek jedwabiu spadochronowego i pudełko od cygar. Trudno mi powiedzieć, po kiego licha, pochyliłem się nad pudełkiem, otworzyłem je i wyciągnąłem z niego białą kopertę, zaadresowaną do Eugeniusza Wilczka w Warszawie *).

Pismo było Pawełka. Koperta była nie zaklejona. Cóż mógł on opisywać? Długi list pisany był dn. 1.5.1944 r. Aha! Chory wykorzystał „tasiemca".

W miarę czytania Pawełkowej kompozycji, zrozumiałem, jak bardzo kocham swego towarzysza.

Pawełek pisał:

Trebus, 1. maja 1944 roku

Drogi Przyjacielu! *)

Ciężko pracowałem dzień cały na roli i smutny wracałem do wioski po woli; wcale nie patrzyłem na jaśminy białe, na bławatki skromne, na bzy postarzałe — bo usta me smutne pod opadłym nosem tęskniły za jednym polskim papierosem. Usiadłem na chwilę u stóp polnej gruszy, aby wydać z siebie jęk znękanej duszy:
— Jowiszu! Do diabła!! Chcesz, by zła tęsknota me myśli pożarła? Po co płucom dajesz nędzny bez, jaśminy, kiedy one pragną tylko nikotyny?... Nie skończyłem mówić a w tej samej chwili powstał huk, jak gdyby znowu Berlin bili...

---

*) Eug. Wilczek z I Dyw. Kościuszkowskiej poległ w maju 1945 w drodze do Berlina.

Jasne niebo pękło i dwie błyskawice uderzyły w moje zdziwione źrenice! Spojrzałem ku górze lewym moim okiem; Jowisz ciskał we mnie rozgniewanym wzrokiem! Grał on właśnie w szachy z Marsem — Zabijaką, (Wenus malowała piórka młodym ptakom). Wtedy mi dopiero wleciało do głowy, że i u mych bogów jest stan wyjątkowy! Zaraz też pojąłem, jak bardzo zgrzeszyłem i skruszony — głowę na pierś zwiesiłem.

— Że się nie wykręcę — była to rzecz prosta, byleby nie chciano mnie gradem wychłostać, bo już napływały ciężkie, grube chmury... Przestraszony, oczy znów wzniosłem do góry: Wenus coś szeptała Marsowi do ucha a on — patrząc na mnie — pilnie słów jej słuchał. Apollo zdziwiony Wenus obserwował zazdrosne ślepia wciąż na mnie kierował. Wreszcie Mars powiedział do Jowisza, wstając: — „Dziś, mnie tylko ziemskie sprawy podlegają!" — spojrzał na mnie złymi, zimnymi oczyma (aż mnie strach cholerny przenikać zaczynał) i nagle zakasłał rykiem wszystkich gromów!

(Ach! — Gdybym mówił o tym kiedyś, komu ... nikt by nie uwierzył. Nikt by wiary nie dał, jak dziś Mars wygląda! — Imperator Nieba!).

Po tym hełm swój złoty na głowę nałożył, popatrzył na szachy, usta swe otworzył i... westchnął tak silnie, że przerwał swe trele słowik z gwardii Wenus (jakich jest nie wiele) — co na moim prawym bucie siedział... I Mars wtedy tak do mnie powiedział: „Czy to ty, przed laty, gdym ciebie pasował na rycerza mego — tytoniem handlował?".

Przymknąłem me oczy, bo mi się zdawało, że zaczyna płonąć całe moje ciało, że serce me biedne jest z najtwardszej stali a w nie sam Hefejstos stu młotami wali... Jednak o karności jeszcze pamiętałem, bo stając na baczność „Tak jest" wyjąkałem.

— Złe nadeszły czasy — pochylił Mars głowę: — Widzisz: ja z Jowiszem palę... Machorkowe.

Słysząc to wyznanie tak się tym przejąłem, że z wielkiego szczęścia postradałem mowę i na pewno dałbym me ostatnie tchnienie, gdyby nie Apollo i Wenus, natchnienie... Oni napełnili usta moje trunkiem, co dla bogów bywał ostatnim ratunkiem, a kiedy połknąłem ten nektar uroczy, śmiało mogłem patrzeć Jowiszowi w oczy.

Wenus mi szeptała: „masz spokojnie leżeć...", ja jednak musiałem Marsowi powiedzieć (kiedy on się schylił nade mną łaskawie), jakie jest me zdanie w „machorkowej sprawie": — „Marka nie gra roli! Ja każde przyjmuję! a kiedy mam tytoń — inaczej się czuję.

Z DZIEJOW I TEORII SOCJALIZMU

(Czesc IX)

(Ciąg dalszy)

Pomimo, że Hegel był obok Saint-Simona najuniwersalniejszym umysłem swego czasu, jednak on nie mógł wyjść poza ograniczony okrąg swojej własnej wiedzy, ani wiedzy i poglądów swojej epoki. Do tych okoliczności dochodzi jeszcze fakt, że Hegel był idealistą t.zn. że powstałych w głowie ludzkiej myśli nie uważał za mniej lub więcej abstrakcyjne odbicie rzeczywistych przedmiotów i procesów, lecz, że przeciwnie — rzeczy i ich rozwój — wydawały mu się tylko urzeczywistnionymi odbiciami „idei", która istniała przed początkiem świata. System heglowski oparł się zatem z jednej strony na pojmowaniu historycznym, ujmującym dzieje ludzkości jako proces który z samej swej natury nie może dobiec swego okresu intelektualnego poprzez odkrycie tzw. prawdy absolutnej, z drugiej zaś strony system heglowski przedstawiał się jako kwintesencja tejże prawdy absolutnej. Spowodowało to pewną sprzeczność w założeniach tego systemu, nie osłabia ono jednak jego doniosłości na drodze rozwoju coraz bliższego prawdy ujmowania zjawisk historyczno-społecznych, na drodze postępu, jakie czynić może z pokolenia w pokolenie systematyczne poznawanie całego świata zewnętrznego.

Jako przeciwstawienie idealistycznego pojmowania procesów historycznych w sensie wyżej ujętym, powstał materializm, który w historii widzi proces rozwoju ludzkości i stawia sobie jako cel wychwycanie praw ruchu zjawisk historycznych.

Równolegle z zainteresowaniem materialistycznej koncepcji, zaistniały fakty, które rzuciły inne światło na nurtujące ówczesny świat procesy społeczne, a mianowicie w 1831 r. doszło w Londynie do pierwszego powstania robotników, w latach 1838 — 42 ruch czartystów w ramach narodowych przyjmuje bardzo silne akcenty rewolucyjne.

Na czoło procesów historycznych wysuwa się walka klas, która zaprzecza dotychczasowym zasadom ekonomii, iż istnieje tożsamość interesów kapitału i pracy, i że dobrobyt klasy robotniczej jest następstwem wolnej konkurencji.

Nowe fakty skłoniły filozofów i ekonomistów do poddania nowej analizie poglądu na dotychczasową historię. Odmienne niż dotychczas spojrzenie na procesy historyczne pozwoliło stwierdzić, że wzajemnie zwalczające się klasy społeczne były każdorazowo wytworami stosunków produkcji i wymiany, słowem — stosunków ekonomicznych swojej epoki. Materialistyczna koncepcja pojmowania dziejów przyjęła następnie tezę, że każdorazowa struktura ekonomiczna społeczeństwa jest podstawą całej nadbudowy instytucyj politycznych, społecznych i religijnych.

Materialistyczne pojmowanie dziejów, i ustalanie pojęcia nadwartości pracy, które odkrył Marks, posłużyły zdaniem Engelsa, jako podstawa do tego, że socjalizm stał się nauką.

Odtąd socjalizm przestaje występować jako przypadkowe odkrycie jakiegoś genialnego mózgu, ale ukazał się, jako nieuniknione następstwo walki dwóch pozostałych historycznie klas społecznych tj. burżuazji i robotników.

Naukowe marksistowskie ujęcie socjalizmu pozwoliło przez uchwycenie pojęcia nadwartości pracy wyjaśnić przyczyny wyzysku.

Jak daleko sięgniemy wstecz w dzieje ludzkości, zobaczymy, że ludzie zdobywają środki do życia połączeni w większe lub mniejsze społeczeństwa, czyli, że produkcja nosi zawsze charakter społeczny — mówi Marks już w 1849 r. w artykułach o „Pracy najemnej i kapitale". „W produkcji ludzie oddziaływują nie tylko na przyrodę, lecz i wzajemnie na siebie — rozwija dalej swoją tezę Marks — produkują oni współdziałając ze sobą w określony sposób wymieniając między sobą produkty swojej działalności".

Badając kapitalistyczny system produkcji, Marks nie zajmuje się w „Kapitale" prawami przyrodniczymi, tworzącymi podłoże procesu produkcji, lecz bada raczej prawa dynamiczne określonej społecznej formy produkcji właściwej dla współczesnej epoki u narodów europejskich. Przy badaniu ustroju kapitalistycznego Marks ustala przede wszystkim prawa ekonomiczne, które rządzą tym ustrojem.

Bogactwem współczesnych społeczeństw są **towary**. Towarem według twierdzenia Marksa jest produkt pracy, wytworzony nie dla własnego użytku, ale w celu wymienienia go na inne produkty. Dla przykładu przytoczyć należy fakt uprzędzenia przez wiejską dziewczynę płótna na bieliznę dla swojej rodziny; produkuje ona przedmiot użytku, a nie towar. Towarem będzie wyprodukowane płótno przez tkacza dla celów wymiany np. na pszenicę u chłopów, towarem stał się zatem produkt, spełniający funkcję społeczne.

W dzisiejszym ustroju wszystkie produkty pracy przyjmują formę towarów.

Wymiana towarów jest naturalnym wynikiem wzrostu sił produkcyjnych ponad ograniczone potrzeby pierwotnej gminy, a zatem wymiana jest przeznaczeniem towaru.

Towar musi więc mieć swoją wartość użytkową, zaś stosunek, w jakim wymienia się jeden towar na drugi — określa Marks — jego wartością wymienną.

Co tworzy wartość towarów?

Każdy towar jest produktem pracy ludzkiej, w nim zakrzepłej. Wartością towaru będzie — według Marksa — ilość włożonej pracy w ciągu określonego czasu w normalnych społecznych warunkach przy przeciętnym stopniu umiejętności i natężeniu pracy.

(D.c.n.) K—Z

Czytajcie

Prasę

Socjalistyczną

SWIAT S



Generał Marshall był w czasie wojny szefem sztabu amerykańskich sił zbrojnych. Po ustąpieniu „mówcy ze Stuttgartu" — Johna Byrnesa objął tekę podsekretarza stanu dla spraw zagranicznych. Jest twórcą nieznanego w szczegółach „planu pomocy dla Europy", będącego obecnie tematem ożywionej międzynarodowej dyskusji. Plan Marshalla jest w pierwszym rzędzie „planem odbudowy Niemiec", przeznaczając na ten cel największe kredyty. Od Byrnesa do Marshalla wiedzie droga amerykańskiej polityki proniemieckiej.



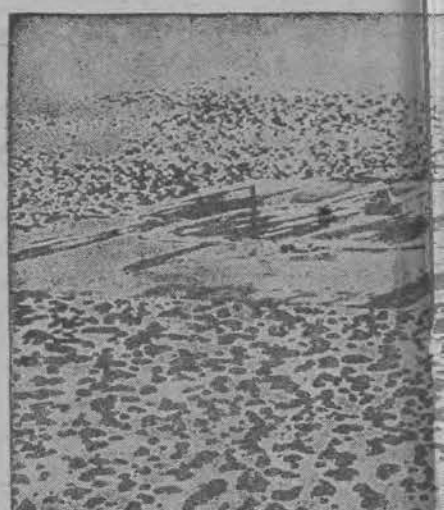
Leningrad — bohaterskie miasto, podnosi się z gruzów i to w pierwszym rzędzie siłami młodych. Oto dwie architektki radzieckie przeglądają na wysokości wielu pięter — plany odbudowy.



R
m
w
T

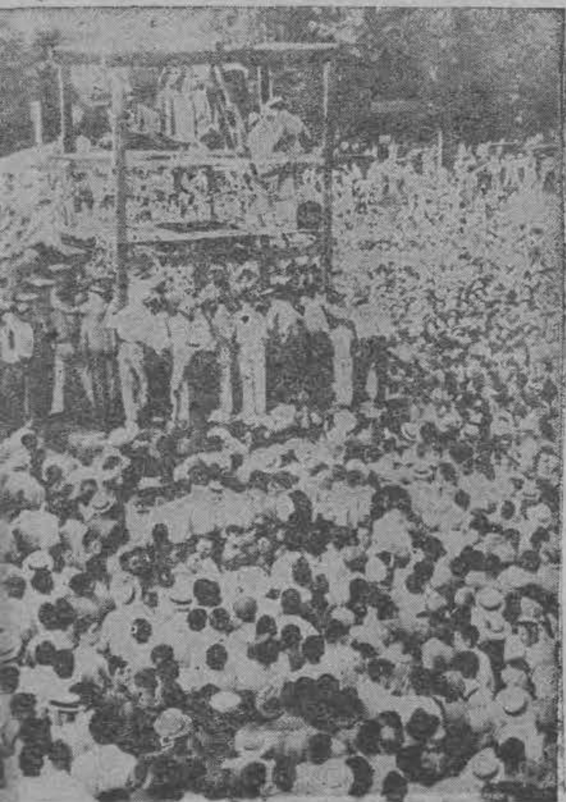


Drożyzna i spekulacja nękają nie tylko polskie masy pracujące. Londyńskie gospodynie w ulicznym pochodzie demonstrują przeciw stałej podwyżce cen na produkty żywnościowe i artykuły pierwszej potrzeby.

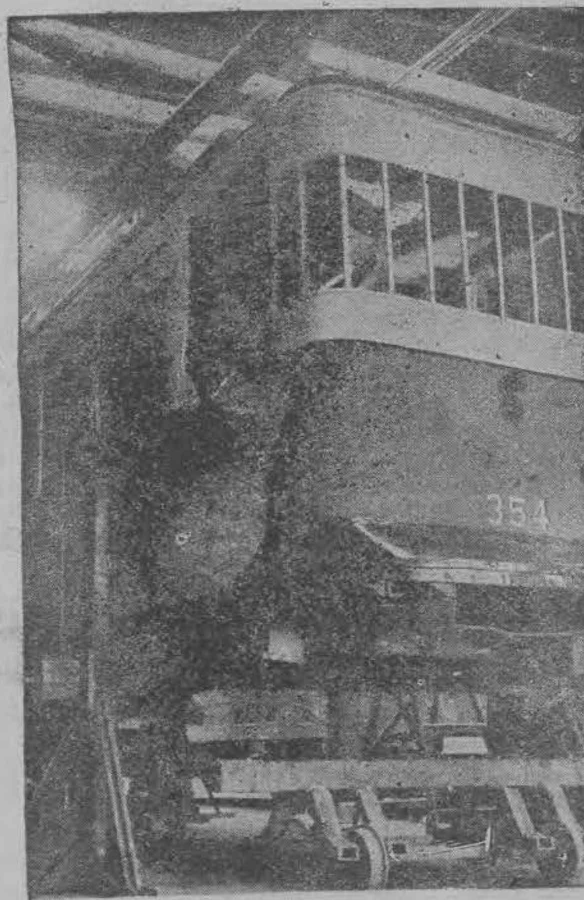


Na dalekich polach Kalifornii odby
sze doświadczenia nad produkcją b
Dziś na dawnym pustkowiu wyrosł
sta, zatrudniające w swoich zakł
sięcy pracowników.

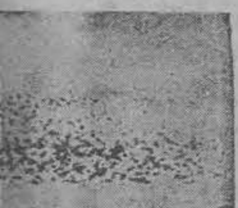
Ę KRĘCI



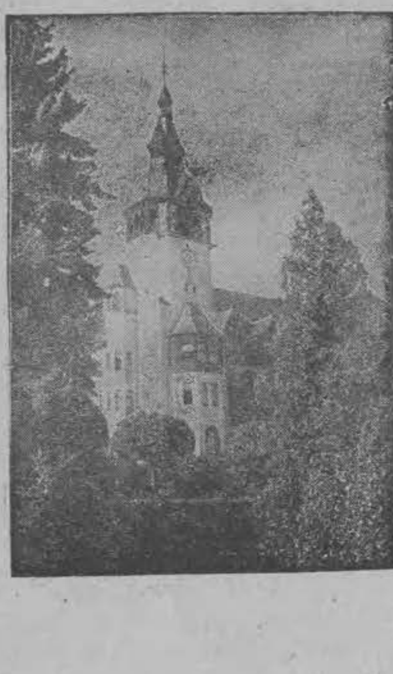
asowa demokracja! Lynch jest w Ameryce rzeko-
o poza prawem, ale „czarnych!' można mordować
bardziej cywilizowany sposób — na szubienicy.
tłumy żądnych sensacji przyglądają się wykonaniu
wyroku „białego" sądu.



W łódzkich warsztatach tramwajowych wre praca. Tabor jest zniszczony w czasie wojny i znacznie uszczuplony, wymaga też ciągłego remontu. W... nr. 354 jest już naprawiony i niedługo rus... „na linię".



...ały się pierw-
...mb atomowych.
...y atomowe mia-
...ach wiele ty-



Wieniec-Zdrój — piękna dolnośląska miejscowość kuracyjna zaroiła się setkami ludzi pracy, przybywających tu na wczasy. Ze zdrojowego parku roztacza się wspaniały widok na Dom Zdrojowy.

PRZYPOMINAMY

W czasie debaty budżetowej nad budżetem ministerstwa Rolnictwa ujawnione zostało, że polowania państwowe przynoszą 400.000 deficytu. Cyfra ta wywołała zdumienie, wiadomo bowiem, że administracja polowań wymaga kosztów stosunkowo niewielkich, gdyż cały ciężar tych kosztów spada na dzierżawców państwowych terenów polowań.

Państwo polskie posiada przeszło 300.000 ha lasów rządowych, jeżeli więc przyjąć, że od dawna jest w dzierżawie tylko połowa, a więc 150.000 hektarów, to i tak biorąc za dzierżawę hektara 20 groszy powinnoby to przynieść na czysto 300.000 zł. A przecież pamiętać trzeba, że za dzierżawę terenów na polowania płacą osoby prywatne bardzo drogo, a więc zysk powinien być znacznie większy.

Tymczasem polowania nie tylko zysku nie przynoszą, a co gorsza, dają 400.000 zł niedoboru.

Niedobór ten tymbardziej jest charakterystyczny, że akurat pięć lat temu, a więc przed objęciem rządów przez pułkowników, dochód z łowiectwa ustalony został na 353.000 zł.

Pp. pułkownicy i ich goście zagraniczni, jak na skromne finanse państwa polskiego polują więc nieco za kosztownie. Skończyć czas z tą reprezentacją polowaniową.

Robotnicy na bruk – kobiety i dzieci do fabryk

Liczba pracujących w przemyśle kobiet zwiększy się szybciej niż liczba pracujących mężczyzn. Obecnie mamy już w górnictwie, hutnictwie i przemyśle przetwórczym przeszło 184.000 zatrudnionych kobiet, a więc więcej niż jedną piątą ogółu ludności zatrudnionej przy produkcji. W samym tylko roku 1934, liczba pracujących kobiet zwiększyła się o 15 tysięcy osób.

Jednocześnie z tym mamy do zanotowania fakt zwiększenia się ilości zatrudnionych dzieci, liczących niżej 15 lat życia. Ze wszystkich stron przychodzą wiadomości o nielegalnym, tajnym zatrudnianiu dzieci w zawodach szkodliwych dla zdrowia.

Jakim przyczynom fakty przypisać należy?

Odpowiedź na to jest następująca – tania jest dzisiaj praca mężczyzn, ale tańsza jest jeszcze praca kobiet, gotowych przy tej strasznej nędzy pracować za jakiekolwiek wynagrodzenie. To jednak nie wszystko, w miarę kryzysu zubożenie klasy pracującej i nędza bezrobotnych pobudza rodziców do wysyłania dzieci do pracy. Sytuacja klasy pracującej jest tak rozpaczliwa, że praca dzieci nieletnich stanowi niejednokrotnie źródło utrzymania rodziny.

Wzrost liczby zatrudnionych nieletnich dzieci jest straszliwym aktem oskarżenia rządów pułkownikowsko - kapitalistycznych.

Miłość miłością, ale płacić trzeba

Z okazji dwuletniej rocznicy umowy polsko-niemieckiej prasa sanacyjna zamieszcza pełne zachwytu artykuły filo-hitlerowskie. Wszyscy dobrze wiedzą jak mocno i wyraźnie akcentowała sanacja w ciągu tych dwu lat swoją miłość względem „Trzeciej Rzeszy".

Najlżejsza obraza Hitlera karana była konfiskatami, a nawet więzieniem. Na każdym kroku rozpływała się sanacja nad sukcesami polsko - niemieckiego dzieła współdziałania.

Jak sprawa przedstawia się w rzeczywistości?

Spróbujemy zrobić krótki bilans polsko-niemieckiego paktu, który w ciągu dwóch lat nabrał charakteru swego rodzaju przymierza.

O pogarszającej się stale sytuacji Polski na terenie międzynarodowym pisaliśmy niejednokrotnie. Omówimy dziś kilka faktów z zakresu stosunków wewnętrznych, dotyczących bezpośrednio polsko-niemieckiej „przyjaźni".

Od pewnego czasu czeka na pomyślne załatwienie sprawa należności Polski za niemiecki tranzyt kolejowy przez Pomorze. Jak wiadomo „Trzecia Rzesza" winna jest Polsce z tego tytułu około 100 milionów złotych. Jeżeli dodamy do tego należności obywateli polskich wynoszące 300 do 442 milionów złotych, z których 200 mil. zł płatnych jest natychmiast —otrzymamy niezgorszą sumę.

Ale cóż to znaczy dla Hitlera kilkaset milionów złotych. Przecież Trzecia Rzesza to potężne państwo. Fuehrer wydał na same zbrojenia 26 miliardów złotych.

Dlaczego więc przyjaciel p. Becka nie płaci Polsce długów! Widocznie rzecz nie polega li tylko na nieporozumieniu, skoro polski minister komunikacji zmuszony był wydać zarządzenia, ograniczające dalszy tranzyt pociągów niemieckich przez Pomorze.

Doprawdy — przykro się złożyło, że akurat przy zamknięciu bilansu polsko-niemieckiej przyjaźni wypłynęła ta niemiła sprawa — hitlerowskiej niewypłacalności. To jednak nie wszystko.

W dwa dni po obchodzie rocznicy układu sanacyjno-hitlerowskiego min. Schacht wygłosił w Bytomiu antypolskie przemówienie, nazywając podział Śląska na polski i niemiecki — „absurdem".

Tym razem już całkiem jawnie i otwarcie wypowiedział jeden z najwyższych dostojników Trzeciej Rzeszy swe prawdziwe imperialistyczne wyznanie politycznej wiary.

Stało się tak jak przewidywaliśmy. Za miłosne prohitlerowskie zapędy sanacji płaci ciężką krwawicą społeczeństwo polskie.

Tydzień Robotnika Nr 10. R. 1936)

Żelazo, czy szmalec

Według najświeższych danych statystycznych wwóz do Niemiec surowca aluminium w roku 1935 zwiększył się w stosunku do roku 1934 dziesięciokrotnie. Z tysiąca ton na dziesięć tysięcy. Prawie tak samo wzrósł import rudy żelaznej.

Jednocześnie został poważnie zmniejszony import artykułów spożywczych, zwłaszcza tłuszczów, gdyż „brak" na nie pieniędzy.

Pieniądze oczywiście są, ale potrzebne są na żelazo i aluminium. Bo faszyzm niemiecki, jak i każdy faszyzm — szykuje wojnę. A wojna potrzebuje żelaza i aluminium.

Niedawno Goering wygłosił w Hamburgu przemówienie, w którym powiedział — „Od masła i szmalcu człowiek staje się tłusty, ale żelazo czyni człowieka mocnym".

Ciekawe ile kilogramów żelaza zjada codziennie Goering, że jest taki gruby. Bardzo pożywne musi być to żelazo, bo pruski premier jakoś się bardzo roztył w ostatnich czasach. Wtajemniczeni powiadają, że Goering pono tylko na zebraniach ludowych jest taki żelazożerczy, w domu zaś, bynajmniej, nie stroni od masła i szmalcu, które tak potępia wobec niemieckich proletariuszy.

RYSZARD MAŁECKI

Awantura w „Golden Hill"

„Patrz jak to się stało, że zdecydowałem się na powrót do kraju? Całkiem po prostu. Wsiadłem na okręt w Edynburgu, przyjechałem do Gdyni, a potem do domu. Przecież nie przypuszczałeś chyba, że pozostanę w Anglii na wieki?

Niczego nie przypuszczałem — wzruszyłem ramionami — nie było od ciebie żadnych wiadomości. Ktoś mi tylko kiedyś wspominał, że podobno, tak jak inni... boisz się wrócić.

Kto ci takich głupstw nagadał — wrzasnął oburzony — czegóż miałbym się do cholery bać?

— Czy ja wiem — rozłożyłem ręce — powtarzam,że tak słyszałem. ale nie wiem napewno, więc dlatego pytam. Dlaczego nie chcesz nic mówić?

Zygmunt sapał przez chwilę ze złością, mruczał jakieś angielskie przekleństwa, wreszcie wybuchnął:

Wy tu w kraju uważaliście nas i uważacie wciąż jeszcze za półgłówków, albo zgoła za zdrajców, ale żebyście wiedzieli, jakie tam panowały stosunki, to myślelibyście inaczej!

Skąd mogliśmy wiedzieć? — odparłem obłudnie — to też nie masz się czego złościć, tylko wszystko porządnie wytłumacz. Dziwię się nawet bardzo, że ty, mój przyjaciel, po siedmioletniej nieobecności w kraju i po tak długim nie widzeniu się ze mną nie masz chęci do opowiedzenia swych przeżyć i przygód. Po prostu nie rozumiem tego.

Zygmunt mruknął coś niechętnie i machnął ręką.

Poczęstowałem go „Camelem". Otoczył się chmurą niebieskiego dymu i chwilę jeszcze o czymś myślał patrząc w sufit, wreszcie zaczął:

Co się. będziemy bujali nawzajem. Wy dobrze wiecie, co nam tam trzeszczeli do ucha, po skończeniu wojny. A nawet kto nie wierzył, to powrócić nie było tak łatwo.

— A ty, jak? — spytałem podstępnie — wierzyłeś, czy nie?

Przyjaciel mój poczerwieniał.

Trochę wierzyłem, ale nie we wszystko — odparł z irytacją — skąd u licha miałem wiedzieć, jak jest naprawdę w kraju? Zresztą prędzej, czy później przyjechałbym napewno, tylko... nie wiem kiedy. To, że wróciłem teraz, jest tylko kwestią przypadku.

O! ciekawym.

Czy ty wiesz w ogóle, jakim cudem znalazłem się w Anglii w 40-tym roku?

Niby skąd? Zniknąłeś nagle, gdzieś w marcu i do końca wojny nie wiedziałem co się z tobą stało. Dopiero w 1945...

No tak, słusznie. Posłuchaj więc. W początkach kwietnia 1940 roku udało mi się przedostać na Węgry, a stamtąd przez Jugosławię i Włochy dotarłem do Francji, akurat w maju gdy Niemcy przekraczali już linię Maginot'a. Widziałem, że już z Francją klapa, to też w tydzień po przybyciu do Marsylii, lądowałem z kolei w Dowrze. Szczegóły tych perypetii opowiem ci później, bo teraz nie o to nam chodzi. Powiem tylko, że miałem nadzwyczajne szczęście. W Anglii wstąpiłem zaraz do RAF, a w sierpniu i wrześniu 40-go roku broniłem już na „Hurricanie" Londynu. Wtedy po raz pierwszy zestrzeliły mnie „Messerschmidty". Potem latałem już bez wypadku, aż do inwazji w 44-tym roku, przeważnie na myśliwcach. Dopiero podczas ofensywy pod Avranches oberwałem po raz drugi i ostatni. Miałem wtedy „Spitfire'a". Zapędziłem się za jakimś szkopem, gdy nagle obskoczyły mnie trzy „Focke-Wulfy". Wywijałem się jak mogłem i jednemu z nich przejechałem kilka serii tak zdrowo, że poszedł w dół jak kamień, ale w kilka sekund potem dostali mnie tamci. Rozwalili mi cały ster a i mnie samego przedziurawili. Nie wiem do dziś, jak wyskoczyłem ze spadochronem. Lądując na ziemi byłem już zemdlony. Odzyskałem przytomność dopiero, gdy armie Sprzymierzonych dochodziły już do Renu. Po wyzdrowieniu pracowałem w sztabie naszego dywizjonu. Odznaczono mnie, awansowałem, a gdy wojna się skończyła, zwolniono mnie z RAF, jako inwalidę.

Początkowo zamierzałem z miejsca zgłosić się na powrót do kraju, ale propaganda andersowska tak nas dezorientowała, co do stosunków w Polsce, że wreszcie nie wiedzieliśmy co myśleć, komu wierzyć i co w ogóle ze sobą począć. Siedziałem w Edynburgu i czekałem z dnia na dzień, nie wiadomo właściwie na co. Ale coraz bardziej poczęło mi tam życie brzydnąć. Po pierwsze, gdy tylko skończyła się wojna, zmienił się odrazu stosunek Anglików do nas. Poczęto patrzeć na nas jak na wrogów. Zbyt dobrze jednak poznałem Anglików, aby się temu dziwić i brać to do serca.

Czy to był zasadniczy powód, który skłonił cię do powrotu? spytałem.

Właściwie tak, chociaż ostatecznie zadecydował o tym również wypadek. Ale mi nie przerywaj, bo właśnie chciałem o nim mówić.

Dobrze, dobrze już, — słucham.

Otóż pewnego razu wybrałem się do małej mieściny, pod Edynburgiem, gdzie mieszkał mój kolega, kapitan RAF. W okolicy dworca wstąpiłem na piwo do oberży, która zwała się bardzo szumnie „Golden Hill" (złote wzgórze). Oprócz właściciela, grubego kapcana z gębą buldoga, siedziało tam jeszcze dwu policjantów i jakiś podejrzany typ przemytnika. Wypiłem kufel podłego piwa i miałem już wyjść, gdy z ulicy dobiegł nas śpiew. W okolicy miasteczka był obóz jeńców niemieckich, szli właśnie w kolumnie marszowej, pod strażą dwu angielskich żołnierzy i śpiewali tę swoją idiotyczną piosenkę wojskową „Erika" która zawsze doprowadzała mnie do pasji. Podszedłem do bufetu, aby zapłacić za piwo, ale oberżysta zbliżył się do okna i uśmiechając się dobrodusznie na widok tych szwabów odezwał się z uznaniem:

Ładnie maszerują i ładnie śpiewają, prawda Sir?

Pytanie skierowane było do mnie.

Krew mnie zalała, ale odrzekłem jeszcze spokojnie:

Yes, piękna melodia, tylko ja znam do niej nieco inne słowa, które oni śpiewali u nas, w Polsce na początku wojny.

O, doprawdy — stropił się nieco grubas — ciekaw jestem...

Chce pan usłyszeć? Służę. A rozumie pan po niemiecku?

O yes, — bąknął niezdecydowanie.

„An der Themse lebt ein altes Lügeschwein, und es heisst — Chamberlein" — zaśpiewałem.

Ta sama melodia, sir, ale słowa inne. Podoba się panu?

Karczmarz mrugał przez chwilę oczyma, potem poczerwieniał i z rykiem: Jou damned Pole! skoczył do mnie. W następnej chwili dostał takiego „dyszla", że potoczył się pod bufet. Policjanci zerwali się z krzeseł i rzucili się na mnie, ale jednego trzasnąłem w łeb kuflem, aż usiadł na podłodze, drugiemu podstawiłem nogę. Padając wyrżnął łbem o stół i zemdlał. Tymczasem oberżysta dźwignął się jęcząc z podłogi i z pomocą pierwszego policjanta i tamtego ciemnego typa zaatakował mnie ponownie. Zrobiła się straszna kotłowanina.

W końcu mnie obezwładnili i odprowadzili na posterunek policii. Myślałem, że

(C. d. na str. 12-ej)

LIST Z ZAKOPANEGO

W OM.TUR-owej „Świetlanej"

Nie jest łatwo dostać się do Zakopanego, szczególnie, jeśli losy zagnały nas przed tym na Wybrzeże. 20 godzin jazdy w lipcowej spiekocie nie należy do przyjemności. Nie jest również zbyt przyjemną wiadomość, że jeśli nie dopilnowało się formalności zniżkowych — podróż z Sopot do Krakowa pociągiem pośpiesznym i z Krakowa do stolicy polskich Tatr — kosztuje 3.000 zł. za osobę, co się równa połowie przeciętnego zarobku wielu z pośród nas . . . Ale poczucie dwumiesięcznej swobody i urlopowej tężyzny (dzięki instytucji wczasów!) — każe szybko zapomnieć o uciążliwej podróży i nadwyrężeniu kieszeni.

JESTEŚMY JEDNĄ RODZINĄ!

Dwie trzecie przedwojennych pensjonatów, dostępnych ongiś dla tuzów sanacji i kapitału — to dzisiaj domy wypoczynkowe ludzi pracy. Zakopane przestało być przywilejem senatorów i pułkowników, dziedziców i fabrykantów. . .

. . . Na rogu Kościuszki i Krupówek zatrzymuje się autobus. Stąd już niedaleko do „Świetlanej" — ośrodka wczasów KC. OM. TUR. Zresztą — skracamy sobie jeszcze wydatnie drogę — idąc na przełaj, ścieżką polną poprzez łany jęczmienia. I jeszcze jesteśmy na łące — gdy dochodzi naszych uszu bliska znajoma tak dobrze melodia „Jesteśmy młodą gwardią". Nic dziwnego — jest już około 8-ej, po kolacji, a okna „Świetlanej" otwarte są na oścież. . . TUR-owcy kończą jeden ze swych cudownych dni.

Za moment wchodzimy do skromnej, niewielkiej, lecz b. miłej salki, będącej jednocześnie i świetlicą jadalną.

Towarzysze i towarzyszki przybyli tu przed nami przyglądają nam się niemniej ciekawie niż my im. Serdecznie wita nas zawsze ta sama tow. Bonikowa, kierowniczka Domu i jej nieodstępna prawa ręka — tow. Hala. Poza tym — jeszcze 2—3 znajome twarze. Reszta, zdawałoby się obcy . . . A przecież w obopólnym gromkim „Wolność" — mieści się cudowna tajemnica wspaniałego współżycia, tej beztroskiej rodzinnej atmosfery, jakiej naprawdę można pozazdrościć OM TUR-owcom i „Świetlanej". W dziesięć minut po powitaniu — jesteśmy sobie wzajem tak bliscy, jak byśmy byli tu już od miesięcy. W takich okolicznościach pojmuje się najlepiej, że faktem jest twierdzenie: Stanowimy jedną, wielką, socjalistyczną rodzinę! . . .

Tak towarzyszko Halu z dalekiej Warmii, tow. Czesławie z Nowej Soli, tow. Basiu z Warszawy, Gdańska, Bydgoszczy, Krakowa, Włocławka towarzysze z Łodzi ! . . . — Jesteśmy jedną rodziną! Kto tę prawdę odczuwa i rozumie — temu dobrze jest w błękitnym gronie „Świetlanej".

REGULAMIN I ŻYCIE

Nie chcemy tu krytykować schematycznych planów KC. OM. TUR, dotyczących organizacji turnusów w ramach akcji wczasów letnich — ale naprawdę Kochani Towarzysze — nie można układać w Warszawie z dokładnością do kwadransa w planie codziennie aż 3 godziny na wycieczki . . . Towarzysze! Na Giewont, ani na Świnicę nie jeździ się trolleybusem. Zastanówcie się, jakby wyglądał tak suchy regulamin w życiu praktycznym, gdyby kierownikiem zakopiańskich wczasów był człowiek myślący tylko kategoriami okólników.

Tak Towarzyszu, — w ramach Waszych ogólnych instrukcji musieliśmy nieco modyfikować rozkład zajęć w zależności od pogody it.p. — ale tego napewno nie weźmiecie nam za złe. Mimo tych modyfikacji — wszystko idzie po Waszej myśli!

A wiecie dlaczego? Bo jesteśmy jedną socjalistyczną rodziną i mamy wszyscy jednakie cele: wychować zdrowe światłe, socjalistyczne, młode polskie pokolenie....

I w imieniu tych z tego pokolenia, z którymi w tym roku zetknęliśmy się — niech nam wolno będzie wyrazić wdzięczność naszych młodych towarzyszek i towarzyszy — za wszystko. Za radość i słońce, za wczasy, za dbałość o zdrowie ciała i ducha, za troskę o wyżywienie i rozrywki i za wzorową organizację Domu, za taką Kierowniczkę, jaką jest tow. Bonikowa, za rodzinną tego Domu atmosferę. (W tym podziękowaniu mieści się i nasze osobiste, skromne podziękowanie — Wasz regulamin wczasów jest dobrym regulaminem, naszym regulaminem. Drobne usterki doszlifowywują się w życiu . . .

Wicz.

Awantura w „Golden Hill"

(Dokończenie)

po wylegitymowaniu puszczą, a te cholery zamknęli mnie w piwnicy. Przesiedziałem dwa dni.

Gdyby nie interwencja mego kolegi, kapitana, Green'a, to nie wiem, jak by się ta cała sprawa zakończyła. Zwolnili mnie wreszcie, ale zagrozili sprawą sądową o obrazę narodu i wywołanie awantury. Mnie! Inwalidę, porucznika Królewskich Sił Powietrznych. Obrońcę Londynu! — za to cholera, że... bodaj ich szlag...

Zygmunt przerwał i począł znów przeżuwać przekleństwa w różnych językach.

No i co dalej?

A cóż, nic — odezwał się niechętnie — sprawę umorzyli, a ja najbliższym transportem wróciłem do Polski. Najbliższym — to znaczy po sześciomiesięcznym oczekiwaniu.

Przez chwilę milczeliśmy obydwaj.

No, a jak ci się podoba w kraju? — spytałem dość banalnie, by przerwać milczenie.

W kraju? — powtórzył z roztargnieniem Zygmunt — i naraz spojrzał na mnie podejrzliwie — co to znowu za głupie pytanie?

Wcale nie głupie — oburzyłem się — nic mi jeszcze nie mówiłeś jak się tu czujesz wśród swoich.

Uśmiechnął się. — No cóż — podoba mi się chociaż nie wszystko.

— O, proszę — mruknąłem trochę urażony — cóż takiego ci nie w smak, hę?

Nie mogę przyzwyczaić się do tych papierosów. Jakieś, takie... może masz jeszcze amerykana — spytał mrugnąwszy po łobuzersku okiem.

RYSZARD MAŁECKI.

———

*) (Nad Tamizą żyje stara kłamliwa świnia. A nazywa się — Chamberlein).

Nasz konkurs 26)

Poniżej drukujemy 26 z kolei odcinek naszego Konkursu. Przypominamy że warunkiem wzięcia udziału w losowaniu nagród jest nie tylko trafne rozwiązanie, ale i punktualne nadesłanie rozwiązania do redakcji.

Termin nadsyłania rozwiązań Konkursu nr 26 upływa 5 sierpnia br. Rozwiązania z datą stempla pocztowego późniejszą — nie będą brane w rachubę.

W rozwiązaniu podać trzeba — przypominamy jeszcze raz — tytuł książki z której fragment został zamieszczony, nazwisko autora, oraz własny dokładny adres i nazwisko.

Była więc pani Latter na wszelki sposób szczęśliwą: zazdroszczono jej majątku, powagi, pensji, dzieci, nawet oczu. Mimo to na jej czole coraz głębiej zarysowywała się zagadkowa zmarszczka, na twarz coraz to niżej zsuwał się cień, a oczy przenikliwiej wpatrywały się gdzieś poza ludzi, jakby usiłując dojrzeć wypadki niedostrzegalne dla innych.

W tej chwili pani Latter spaceruje po swoim gabinecie, którego okna wychodzą na Wisłę. Jest już schyłek października, o czym mówi rudo - żółtawe światło, którym słońce, kryjąc się za Warszawą, pomalowało domy Pragi, kominy odległych fabryk i szare zamglone pola. Światło jest zwiędłe, jakby zaraziło się od zwiędłych liści, albo nasiąkło rudą parą lokomotywy, która w tej chwili sunie daleko poza Pragę i znika jeszcze dalej, uwożąc jakichś ludzi, może jakieś nadzieje. Szkaradne światło, które przypomina schyłek października, szkaradna lokomotywa, która każe myśleć, że wszysto jest na tym świecie w nieustannym ruchu i znika dla nas, ażeby pokazać się innym, gdzieindziej.

Pani Latter cicho stąpa po dywanie gabinetu, który ma wygląd męskiej pracowni. Czasem spogląda w okna, gdzie zwiędłe światło przypomina jej koniec października, a niekiedy rzuca okiem na dębowe biurko, gdzie leży kilka wielkich książek rachunkowych, nad którymi pochyla się biust Sokratesa. Ale zmarszczone czoło mędrca nie wróży nic dobrego, więc ściska założone na piersiach ręce i, chodząc powoli, przyśpiesza kroku, jakby pragnęła już gdzieś dojść, byle prędzej. Oczy jej błyszczą mocniej, niż zwykle, usta zacinają się węziej, a na twarzy coraz głębiej zapada ów cień, którego nie mogła odegnać ani piękność jej dzieci, ani opinia, jaką ona sama cieszy się wśród ludzi. —

W salonie poczekalnym regulator wydzwonił w pół do piątej, w jej gabinecie duży zegar angielski jeszcze uroczyściej wybił wpół do piątej i w dalszych pokojach dźwięk ten cieniutko i śpiesznie powtórzył jakiś mały zegarek. Pani Latter zbliżyła się do biurka i zadzwoniła.

Czuła, że od pewnego czasu ma mniej władzy nad biegiem wypadków, ale za to wypadki mają więcej władzy nad nią. Oto i w tej chwili, zamiast rachować, projektować, obmyślać sposoby, ona siedzi z rękoma opuszczonymi na poręcze fotelu i patrzy na widziadła, jakie przed nią rozsnuwa wyobraźnia.

I znowu widzi tłustą jejmość, która chce uczyć córki swoje malarstwa i gry na cytrze, ale za to urywa pięćdziesiąt rubli od umówionej zapłaty. A potem widzi płowowłosą pannę Howard, która, chcąc kobiety zrobić samodzielnymi, pracuje nad zrujnowaniem jej, kobiety od kilkunastu lat samodzielnej!

Nareszcie przychodzi jej na pamięć spokojna twarz nauczyciela geografii, który bez protestu pozwala sobie urwać 24 ruble na miesiąc.

Satandula! — mówi pani Latter z gniewem. — Ciepłe kluski nie mężczyzna...

I owe ciepłe kluski przypominają jej, że nadchodzi termin rachunku z piekarzem i rzeźnikiem i że za lokal trzeba zapłacić 25000 rubli za półrocze.

No, dziś mogę o tym nie myśleć powiada sobie i otrząsa się. Helenka jest u Ady, a Kazio zapewnie ubiera się do teatru...

Lecz i dzisiejsza rozmowa z dziećmi nie nasuwa jej przyjemnych wspomnień. Jak to może być, ażeby Kazio do tej pory nie wyjechał za granicę? Nie dlatego, że jest jej synem i że jest piękny, ale najsurowszy sędzia musiałby przyznać, że jest to wyjątkowy młodzieniec, o którym za kilka lat mówić będą w całej Europie.

Co za ambicja, jaka dojrzałość, jak on się wstydzi swoich dzisiejszych przyjaciół, którzy nie mają wielkiej idei, i jakie to on sam musi mieć idee! . . . Czy podobna, Boże miłosierny, ażeby taki chłopiec nie mógł jechać za granicę, jedynie dlatego, że matka nie ma gotowych tysiąca rubli. Jak to może być, ażeby społeczeństwo nie posiadało instytucji dla dostarczania funduszów genialnym młodzieńcom na wyższą edukację? Zaraz poszła by tam, i zastrzegłszy tajemnicę, powiedziała by członkom zarządu:

„Moi panowie, wychowałam kilka pokoleń waszych sióstr, żon i córek, lecz sama nie mam pieniędzy na dokończenie edukacji syna. Proszę więc o pomoc, nie w imię moich zasług i pracy, ale że Kazio jest to chłopak dzielny, szlachetny, genialny. O gdybyście wy go tak znali, jak ja, uwierzylibyście, że nawet choćby mi był obcym, jeszcze troszczyłabym się jego przyszłością. Bo tylko spojrzyjcie na niego, zastanówcie się nad każdym jego słowem, spojrzeniem, ruchem . . . Ale po co to wszystko: tylko przyciśnijcie go do serca, jak ja, a przekonacie się, co za nadzwyczajna dusza mieszka w tym ukochanym . . ."

Pani Latter machinalnie załamuje ręce. Bo przecież nie ma instytucji, która by pomagała genialnym młodzieńcom, a choćby stworzono taką, czyliż członkowie zarządu uwierzyli by, że to, co ona mówi o synu, jest świętą prawdą, owocem chłodnej obserwacji, nie zaś macierzyńskim uniesieniem? Czyliż ona nie zna ludzi, czy nie słyszała półsłówek, rzucanych na rachunek Kazia?...

Nasz felieton

Nie trzeba Woronowa

Należę do ludzi cierpliwych.

Z t. zw. równowagi duchowej nawet program Polskiego Radia nie potrafi mnie wyprowadzić — bo należę do ludzi cierpliwych.

Ale ostatnio, uważacie, popsuło się coś we mnie. Bo to tak: człowiek starzeje się, pomaleńku siwe włoski dostaje, a te włoski, które nie chcą być siwe, to bezczelnie uciekają podczas rannej toalety, jakby i na głowie obowiązywała jakaś norma zagęszczenia, jeszcze trochę, jeszcze parę lat to i zmarszczki i taki drżący głos i pochylony kark i laseczka do ręki i — w ogóle dziadek.

A ja chciałbym, uważacie, pozostać młodym. Chciałbym nie starzeć się i nie tatusieć, bo przecież życie do młodych należy, nieprawda?... Więc dlaczego ci mądrzy ludzie, którzy wymyślili bombę atomową, Schumachera, konferencję paryską i unrrowskie buty — nie stworzą jakiegoś eliksiru młodości?... Dlaczego?...

Ech!... Dawniej to było jednak znacznie lepiej!

Taki Woronow, powiedzmy. Małpie tam coś wyciągnął, człowiekowi wprawił, zaszył, posmarował, przyklepał — i staruszek albo babcia znów nabierała małpiego wigoru. A dziś?...

Chociaż... Chociaż i dziś, jeśli ktoś jest sprytny, to tam w metryczce sobie atramentem skrobnie i odrazu jest o dwadzieścia lat młodszy... A nawet można i bez skrobania sobie załatwić.

Znam taką donnę, która się o kilkanaście lat odmłodziła i to bez żadnego fałszowania swej ślubnej metryki. I młoda jest. A ja?...

I to jest sprawiedliwość?... I to jest równość?... Jej to niby tak wolno, a innym to nie?...

Więc jak?...

A z tą donną to tak było:

Wtedy kiedy ja byłem jeszcze piękny i młody, to ona już nawet młoda nie była. Z góry patrzyła na mnie, udawała, że mnie nie widzi i mówiła: smarkacz!... I to było bardzo dawno. A potem to już nie wiem co się z nią działo i co się z nią stało. Że tak powiem, znikła mi z horyzontu. No, a że wtedy, jak już powiedziałem, ja byłem piękny i młody, a ona to nawet młoda nie była — nie próbowałem się nawet dowiedzieć dokąd ją wiatry pognały.

I zapomniałbym niedługo, uważacie, że taką osobę znałem kiedykolwiek w swym życiu. Zapomniałbym, no bo to i inne młode donny są na świecie, żona i dzieci i wojna i — w ogóle...

Ale przed dwoma tygodniami spotkałem tzw. kumpla z lat szkolnych. Morus był kiedyś z niego chłop, przyjaciel, że tak powiem, od serca, to też po kilkunastu latach niewidzenia się, wycałowaliśmy się na ulicy z dubeltówki, a potym postanowiliśmy nasze spotkanie odpowiednio uczcić.

Do żadnych knajp oczywiście nie chodzę. Taką już mam zasadę. Bo to i zatruć mogą i oczyścić z pieniędzy też.

Poszliśmy więc do niego. Niby do jego mieszkania.

Chłopak, jako że kawaler jeszcze, zakręcił się koło stołu i kuchenki gazowej, no i po godzinie czy może po dwóch, zwierzał mi się z najbardziej skrytych tajemnic swego serca.

Oczywiście: Ona!... Ona!... Ona!... Oczywiście: listy, zasuszone kwiatki, fotografie... A przy fotografiach zaczęło mi coś tańczyć przed oczyma.

Patrzę: znam! Głowę dam, że znam! Głowę dam, że to ta donna z moich młodzieńczych lat!...

Pytam więc: — słuchaj, kto ona zacz?...

No to on i imię i nazwisko i zawód... Nie zgadza się, psiakrew! Zawód niby się zgadza, ale imię i nazwisko —nie! Pytam więc dalej:

— A słuchaj! Ile ona sobie tak liczy wiosen, aaa?...

A on: — tyle i tyle!

I znów, psiakrew! nie zgadza się!... Tamta moja powinna być o piętnaście przynajmniej lat starsza. Ale przecież znam ją bez żadnego — ale. Nie powiedziałem jednak nic. No bo niby, jeśli człowiek, uważacie, nie ma pewności, to poco mówić, nie?

Wieczorem pożegnałem przyjaciela, obiecując zjawić się na jego ślubie, który miał odbyć się za miesiąc. Pożegnałem się, wysiączyłem ostatni kieliszek, a kiedy stoczyłem się ostrożnie po schodach (cztery piętra!), w bramie spotkałem — właśnie ją!

Patrzę na nią, a ona na mnie. Patrzę i myślę: ona czy nie ona-... ona czy nie ona? A ona patrzy na mnie. W końcu podchodzę bliżej i dopiero wtedy po pieprzyku pod lewym okiem poznałem, że — ona!

Mówię więc: servus! ty taka a taka!

A ona mówi: — servus! Marek; ale ja nie jestem taka a taka!

— A jaka jesteś?...

— Jestem taka a taka!

I mówi mi oczywiście imię i nazwisko, które przed trzema godzinami wymienił mój przyjaciel. No to ja pytam: — a z jakiej okazji przechrzciłaś się?

I ona zaczyna mi opowiadać, że jak to w czasie wojny, że jak to w G.G., że jak to policja... no i w rezultacie zmuszona była wystarać się o fałszywe dokumenty, i tak już zostało.

— No, a rok urodzenia?

— Rok urodzenia też został — odpowiedziała, rumieniąc się, że tak powiem.

Popatrzyłem na nią, pokiwałem smutnie głową i poszedłem.

I teraz myślę. Bo ja przecież jestem człowiek cierpliwy i z tzw. równowagi duchowej nie łatwo mnie wyprowadzić. Ale mój przyjaciel ma za dwa tygodnie ślub. Ma ślub i jest święcie przekonany, że jego donna jest starsza od niego o dwa lata, bo tak stoi w metryce ślubnej. A ona jest starsza od niego o...siedemnaście lat.

No i tak myślę: ostrzec go czy nie ostrzec?...

Bo chociaż rozumiem, że lata w miłości roli nie grają, to zawsze... nieprawda?... I według mnie, to jednak lepszy był Woronow.

Ale bez Woronowa też można!

marek.

Kto otrzymał nagrody

W „Naszym Konkursie" Nr. 23, nagrody otrzymali:

Krystyna Skurniczanka, Łódź, Wigury 5, m. 4.

Niewiadomska Stanisława, Łódź, Ruda-Pabianicka, ul. Profilowa II, Wyjątek zaczerpnięty był z powieści I. Kraszewskiego pt. „Chata za wsią".

SPROSTOWANIE

Odcinek konkursowy w ubiegłym numerze „Pobudki" tj. 28 z dn. 13.7.47. powinien mieć numer kolejny 25, a nie 27 jak mylnie podaliśmy.

Za pomyłkę — naszych czytelników przepraszamy.

Redakcja

ARKADY T. AWERCZENKO

CZTERY STANOWISKA

I.

Są strasznie zabawni! — mówiła uśmiechając się do mnie powłóczyście. Niewiadomo w podobnych wypadkach, kiedy właściwie kobieta gani a kiedy chwali, odpowiedziałem więc tak, aby moja wypowiedź nie mówiła nic konkretnego:

— Zupełnie słusznie. To się często człowiekowi zdarza, że będąc jeszcze w niebezpieczeństwie, popełnia już omyłki.

— Bardzo mnie rozśmieszyli.

— To bardzo miło z ich strony — powiedziałem ostrożnie, usiłując przy tym intensywnie zorientować się o co jej właściwie chodzi.

— Wiecie, on jest jak — jak prawdziwy Othello.

Jako, że do tej pory mówiliśmy o staruszku doktorze, ich domowym lekarzu, to dziwiąc się nieco, tej tak opóźnionej właściwości, wtrąciłem:

— Nigdy bym o tym człowieku nie mógł czegoś podobnego pomyśleć — Westchnęła głęboko.

— To straszne, uświadomić sobie, że człowiek jest w mocy takiego właśnie osobnika. Nigdy nie żałowałam i nie żałuję, że zgodziłam się wyjść za niego za mąż. Jestem zupełnie pewna, że mu głowę rozbitą aż potąd.

— Ach, mówicie więc o mężu! Ale przecież on:..

Spojrzała na mnie z wielkim zdziwieniem.

— To przecież nie mąż ma rozbitą głowę. On ją sam rozbił.

— Upadł?

— Ależ nie, rozbił ją temu młodzieńcowi.

Ostatni raz o młodych ludziach mówiliśmy przed trzema tygodniami, powiedzenie — młodzieniec, jeżeli nie odnosiło się do doktora, to musiała to być osoba dla mnie zupełnie nieznana.

Spojrzałem na nią bezradnie i mówię.

—No dobrze, ale dopóty nie wyświetlicie mi przyczyny nieszczęścia owego młodzieńca, dotąd osoba jego pozostanie dla mnie zupełnie nieznaną.

— Ach zapomniałam, że nie znacie w ogóle tego wypadku. Otóż przed trzema tygodniami szliśmy z nim z kolacji od znajomych, wiecie, przez park. On siedział na ławeczce. Blady, czarnowłosy. tacy mężczyźni bywają niekiedy nad podziw nierozważni! Miałam wtedy taki duży czarny kapelusz, było mi w nim bardzo do twarzy. On się na mnie popatrzył i naraz wstał z ławki i podchodzi do nas. Rozumiecie — byłam z mężem. To jest szaleństwo. A taki młody. Mąż, jak wam już mówiłam — jest strasznie zazdrosny, jak Othello. Dochodzi — i łapie męża za rękaw. Poproszę — mówi — ognia. Aleksander wyrwał się, pochylił błyskawicznie ku ziemi, porywa cegłę, i trach go w głowę! A młody człowiek, jak ten.. jak to się mówi... jako snop — pada. Straszne!

— Jak to można być tak zazdrosnym o nic?! Wzruszyła ramionami.

— Przecież wam już mówiłam — są tacy zabawni.

II.

Pożegnałem się i wyszedłem. Na rogu spotykam męża.

— O, co za nieoczekiwane spotkanie. Co się dzieje, że was w ogóle widzę?

— A tak nie pokazuję się zażartowałem. — Słyszałem, że rozbijacie cegłami głowy jak włoskie orzechy.

Zaśmiał się.

— Żona wam opowiadała? Dobrze jeszcze, że miałem pod ręką cegłę. Inaczej — pomyślcie tylko — w portfelu dziesięć tysięcy, żona brylantowe kolczyki i

Odskoczyłem od niego.

— Co z tym mają wspólnego kolczyki?

— No, on mógł je przecież z mięsem... Parczek był całkowicie wyludniony...

— Myślicie, że to był rabuś?

— Nie, attache francuskiego poselstwa. Cha — cha. W bezludnym miejscu podchodzi do was człowiek, prosi o ogień, a chwyta za rękę — to przecież jasne jakie ma zamiary.

Zamilkł zrażony moją niedowiarą.

— I wtedy wyście go... cegłą?

— Tak, w głowę,. Ani mruknął...

Z rozpaczą o niedoskonałości ludzkiej w sercu, pożegnałem się i poszedłem dalej.

III.

— Nie mogę cię dogonić — ozwał się za mną głos.

Obejrzałem się i zobaczyłem przyjaciela, którego nie widziałem od trzech tygodni. Spojrzałem na niego, załamałem ręce i wykrzyknąłem:

— Boże, a tobie co się stało?

— Dzisiaj opuściłem szpital, słaby jeszcze jestem.

— Ale u licha, co ci się przydarzyło?

Uśmiechnął się z wysiłkiem i mówi:

— Powiedz, nie słyszałeś aby ktoś człowiek w ciągu ostatnich trzech tygodni uciekł ze szpitala dla umysłowo chorych?

— Że się jeszcze chcesz zajmować takimi sprawami. Opowiedz raczej o sobie.

— Po prostu. Trzy tygodnie walczyłem ze śmiercią. Mam bliznę. Chwyciłem go za rękę i z nieoczekiwanym zaciekawieniem zapytałem:

— Bliznę powiadasz!? Przed trzema tygodniami? Nie byłeś wtedy w parku?

— Byłem. Na pewno, czytałeś o tym w gazecie? To był najprzykrzejszy wypadek w moim życiu... Siedziałem wieczorem w parku. Byłem bardzo zmęczony. Chcę zapalić papierosa. — Do licha. Nie mam zapałek... Myślę, poproszę jakiego przechodnia... I jak na zawołanie idzie jegomość z damą. Na nią, nawet dobrze nie spojrzałem — była bardzo brzydka. tak mi się wydawało. On palił. Podchodzę. Dotykam grzecznie jego ręki. Proszę o ogień. A on — co myślisz? Drań pochyla się ku ziemi — podnosi coś — pociemniało mi w oczach upadłem... Jak sobie pomyślę, że ta bezbronna, nieszczęśliwa niewiasta szła z nim, nie podejrzewając co to za typ....

Spojrzałem mu w oczy i spytałem:

— Ty... naprawdę myślisz, że miałeś do czynienia z wariatem?

— Jestem tego pewien.

IV.

Przez dwie godziny gorączkowo przeglądałem gazety z ubiegłych tygodni. W końcu znalazłem to czego potrzebowałem. Była to krótka notatka:

„Następstwa nadmiernego używania alkoholu: — Wczoraj rano dozorcy parkowi znaleźli młodego mężczyznę w nieprzytomnym stanie. Jak się okazuje będąc kompletnie pijanym, upadł tak nieszczęśliwie, iż rozbił sobie głowę o leżącą na drodze cegłę. Jest prawdziwym nieszczęściem dla rodziców takiego młodzieniaszka, podupadłego moralnie i fizycznie ..."

(Tłumaczył — J. K.)

P. o red. nacz. — Sergiusz Jaśkiewicz
Wydaje: Woj. Komitet PPS. w Łodzi
Redakcja i Administracja: Łódź: Piotrkowska 68, tel. 112-54
skrytka pocztowa nr 7
Godziny przyjęć: redakcji 10 — 12
administracji 9 — 17
Prenumerata: miesięcznie — 20 zł
kwartalnie — 50 zł
Cena ogłoszeń:
za milimetr — szpaltę 50 zł
Drukarnia nr 6 Spółdz. Wydawnicza „Wiedza", Łódź, Kilińskiego nr 87
D—017112

UŚMIECHNIJ SIĘ!



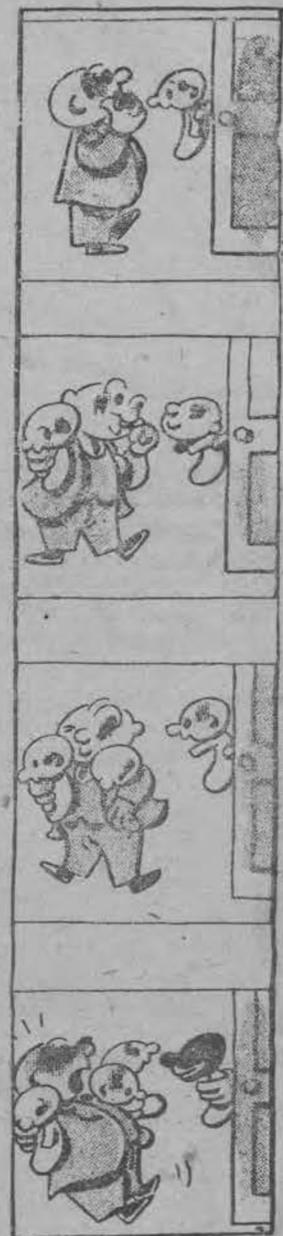
— Mania zostaw to pudrowanie, ten łysy jegomość wygląda bardzo solidnie!
— Idź się topić.



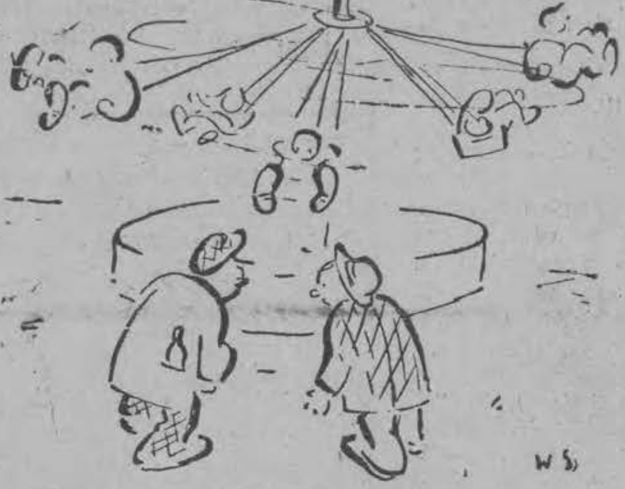
„Wydaje mi się, iż panna młoda nie jest bardzo zmartwioną z powodu nie przyjścia narzeczonego.“



ROWNOUPRAWNIENIE MĘZCZYZN



SZCZĘŚLIWY OJCIEC



— Czy masz ochotę Felek wsiąść na tę karuzelę?
— Nie, — tylko przy tym skwarze, to są najlepsze wachlarze.



— Na cóż ci lód położono?
— Bo lubię wódkę mrożoną!